Andrzej Franaszek opowiada o swojej bibliotece

Ile masz książek?

Nie mam pojęcia. Przed laty, gdy zaczynałem je zbierać, oczywiście bardzo chętnie liczyłem, porównywałem z księgozbiorami znajomych, rywalizowałem, ba – marzyłem o ekslibrisie, którym opatrywałbym każdy, właśnie co zdobyty egzemplarz.

To zresztą ciekawe, skąd bierze się ta potrzeba nie tylko czytania, ale właśnie posiadania książek. W moim rodzinnym domu było ich – obłożonych w szary papier – niewiele, nie wzrastałem w zarośniętym książkami mieszkaniu tak zwanej starej krakowskiej profesury, choć mój tata regularnie chodził do bibliotek, czytał dużo i z pewnością to właśnie jemu zawdzięczam przekonanie, że książki mogą w sobie kryć coś interesującego. Na początku czytał mi je na głos, oczywiście była wśród tych lektur, jak u paru wcześniejszych polskich pokoleń, „Trylogia". Później cierpliwie pomagał, gdy byłem absolutnie pewien, że sztuki składania liter – nigdy nie posiądę. Tak więc czytanie było naturalne, wcześnie zaszczepiony bakcyl doskonale się rozwijał, wszystkie klasyczne historie z namiotem zrobionym z kołdry i latarką, z książką zainstalowaną obok talerza z zupą – przerobiłem. Ale zbieranie? W domu rodziców brakowało na księgozbiór i miejsca, i pieniędzy. Przeszklona biblioteczka z kilkoma półkami miała mi wystarczyć – tak się spodziewano – do końca studiów. Dość szybko przecież zaczęła pękać w szwach, a tata w moim pokoju z zaskakujących materiałów klecił regały. Ja zaś kupowałem, dostawałem, wycyganiałem, przejmowałem, ze zwierzęcą pożądliwością – zbierałem.

Później tej pożądliwości się oduczyłem. Książki towarzyszyły mi w sześciu przeprowadzkach, przy jednej z nich od właściciela taksówki bagażowej usłyszałem – także klasyczne – zdanie: „Panie, widzi pan, jak naczepa siadła, przecież to musi być tona, osie mogą pęknąć!". Poznałem dramaty książek upychanych w drugim i czasem trzecim rzędzie, dobijanych pięścią niby młotkiem, trzeszczących półek... Dramat rozstań z cząstką zbiorów, wszak z książkami – jak to ładnie ujął Tomasz Różycki – jest tak, że „weźmiesz jedną, / to zaraz lamentują też następne // i to się nie kończy już nigdy". I jeszcze dramat największy: zrozumienia, że wielu z posiadanych, z taką namiętnością zdobywanych książek już nigdy nie przeczytam. A zatem także nigdy nie spełnię tego, co przed laty sobie wymarzyłem, nie będę filozofem, historykiem sztuki, jungistą, antropologiem religii, ani nawet znawcą historii XIX-wiecznego Krakowa. Może osiągnę coś w swojej tak zwanej specjalności, ale – jak to specjalność – będzie ona nieporównanie węższa niż młodzieńcze ambicje. Wydaje mi się, że podobne odkrycie zapisał niegdyś Czesław Miłosz:

I coraz częściej z otwartymi ustami
Z gasnącym papierosem Gauloise
Nad szklanką czerwonego wina,
Myślę o tym co znaczy być tym a nie innym.

Tak samo było kiedy miałem dwadzieścia lat
Ale wtedy nadzieja że będę wszystkim
Może nawet motylem i kosem, przez zaklęcie.
Teraz widzę zapylone drogi powiatu
I miasteczko w którym urzędnik poczty upija się co dzień
Z żalu że jest tożsamy tylko ze sobą.

Nazwijmy to lekcją pokory i – mimo wszystko – nie dramatyzujmy. Korzyścią jest tu fakt, że nauczyłem się książki oddawać. Wynosić na uczelnię, by łaskawie zabrali je studenci, rzadko, bo to zbyt kłopotliwe: sprzedawać w antykwariacie. Uzmysłowiłem sobie, że jeśli tylko ktoś je weźmie, sprawa nie jest stracona. Temu nieznanemu człowiekowi posłużą, dadzą radość czy mądrość.

Ale ile? Jeszcze raz: nie wiem. Nie jest to monstrualny zbiór wybitnego krytyka, Mariana Stali, ani tym bardziej legendarne otchłanie, rafy koralowe zadrukowanego papieru, należące do Marii Janion czy Henryka Markiewicza. Pozostało jednak „woluminów" sporo, a w dodatku wraz z moją narzeczoną zamierzamy nasze księgozbiory połączyć. Zagęści się zatem. Strop jest drewniany, liczy sobie ponad 110 lat, ale dzięki specjalnej stalowej konstrukcji – prawdopodobnie wytrzyma.

Czy pamiętasz pierwszą książkę, którą kupiłeś sobie sam? Czy masz ją jeszcze?

Niestety nie i nawet tego żałuję. Z pewnością jednak nie był to ani Proust, ani Nabokow, ani Kafka. W loterii pamięci obstawiałbym choćby jakąś powieść Edmunda Niziurskiego, któremu zawdzięczam wiele dziecięcych (i nie tylko dziecięcych) radości. Żałuję także, że nie mieszkałem w domu obdarzonym przepastnym strychem, gdzie stopniowo zbierałyby się książki dzieciństwa. Dorastając – zdradzałem je, sprzedawałem, zadowolony, że za zdobyte tak pieniądze mogę sobie kupić coś, co wkrótce przestało mieć jakiekolwiek znaczenie. Po latach te same tytuły, czasem nawet w tych samych starych wydaniach – kupowałem dla córki. Szklarski czy Nienacki próbę czasu przetrwali tak sobie, autor „Siódmego wtajemniczenia" – doskonale.

Jaką książkę kupiłeś jako ostatnią?

Od dłuższego czasu kupuję więcej książek starych niż tych, które właśnie co po raz pierwszy trafiły do księgarń. Podobnie jest z czytaniem: w młodości pasjonujemy się tym, co właśnie zostało napisane, dla mnie w latach 90. były to powieści Tokarczuk czy Stasiuka, Chwina i Huellego, ale też – wreszcie mi dostępne – tomy „Dziennika pisanego nocą" Herlinga czy wznawiane wtedy już oficjalnie – książki Miłosza. Wiersze i przekłady Barańczaka, wiersze tzw. poetów „bruLionu" i wiele, wiele innych. Minąwszy pewną granicę, niejednokrotnie dochodzimy do wniosku, że czasu już pozostało niewiele i więcej duchowego pożytku przyniesie nam jeszcze jedno odczytanie Tomasza Manna niż kolejny genialny debiutu polskiego prozaika lub reportażysty. Tak więc szperam w lochach Allegro, wydaję oszałamiającą kwotę ośmiu złotych, by stać się posiadaczem, skądinąd dawno temu już raz czytanej, gorzkiej powieści Evelyna Waugh „Powrót do Brideshead".

Według jakiego systemu ustawiasz książki? Alfabetycznego? Według formatu? Tematycznie? Czy wiesz na pamięć, gdzie stoi dana książka, czy też zdarza Ci się długo jej szukać?

Alfabet. Plus generalne podziały: literatura polska, obca, filozofia, teologia, historia i historia sztuki, eseistyka, krytyka literacka. Jak widać: nic wymyślnego, oryginalnego. Ale dzięki tym podziałom, a jeszcze bardziej dzięki faktowi, że po kolejnej przeprowadzce udało mi się w dużym stopniu osiągnąć System Jednego Rzędu – nie gubię się. Duży urok ma stara anegdota o Jerzym Turowiczu, który dzwoni do młodszego kolegi z redakcji „Tygodnika Powszechnego", by ten pożyczył mu książkę, którą sam Turowicz niewątpliwie ma, ale po prostu – wśród książkowych pryzm i stalagmitów – nie jest w stanie jej odnaleźć. W codziennej praktyce prościej przecież sięgnąć na półkę, co najwyżej z pomocą drabiny wspinając się wysoko pod sufit.

Czy masz osobne półki na książki z dedykacjami autorów? Które dedykacje i wpisy uważasz za najcenniejsze?

Niestety, nie mam. To znów coś, czego żałuję. Studiując polonistykę i chodząc na wieczory autorskie, później zaś pracując w dziale kultury „Tygodnika Powszechnego", jeżdżąc na rozmaite festiwale literackie – poznałem naprawdę wielu pisarzy, od niektórych z nich rzeczywiście otrzymywałem dedykacje. Ale bardzo rzadko o nie prosiłem, uważając, że dedykacja ma wartość o tyle, o ile wynika z rzeczywistej bliskości, przyjaźni, a w każdym razie czegoś więcej niż krótkie spotkanie. Tak więc tych wpisów nie zgromadziłem dużo. Jest to jednak piękna chwila, odnaleźć niespodziewanie w jednej z książek Czesława Miłosza dedykację dla „pana Andrzeja", który „przejrzał prawie wszystkie moje sekrety". Nie mówię tu o zaspokojonej miłości

własnej, a o wzruszeniu.

Książka to twój warsztat pracy. W jaki sposób zaznaczasz cytaty?

Najbrutalniej. Kreślę, rzadziej – wklejam kolorowe karteczki. Oczywiście wiem, że są tacy, dla których książka jest nietykalna, nigdy by sobie nie pozwolili, by ją pokreślić. Myślę jednak, że nie ma w tym nic złego – kiedyś ktoś zwróci uwagę na ślady moich lektur, podobnie jak ja z ciekawością odkrywam takie ślady w książkach, które kupiłem w antykwariatach. Zdecydowanie gorszą jest sprawa inna, nazwijmy ją Kompleksem Ołówka, nie tego ozdobnego crayona, który pożyczał Hans Castorp od Kławdii Chauchat, ale ołówka polonisty – neurotyczna konieczność podkreślania, robienia notatek. Innymi słowy: myślenia o czytanej książce pod kątem bezpośredniego pożytku, jaki wynika z lektury, choćby szukania cytatu, którym można się posłużyć we własnym tekście. Obawiam się, że z tego punktu widzenia ani studia polonistyczne, ani późniejsza praca związana z literaturą nie sprzyjają temu, co byśmy nazwali bezinteresowną radością lektury.

Czy pożyczasz swoje książki znajomym, a jeśli tak, to czy notujesz to sobie, czy polegasz na pamięci swojej i tych, którym książkę pożyczyłeś?

Coraz rzadziej, coraz bardziej niechętnie. Wiele już razy żegnałem się z książkami wbrew swojej woli. Czasem te pożegnania wiązały się z życiowym wirażem, były smutne, ale zrozumiałe. Czasem wszakże cechowała je nieprzenikniona tajemniczość. Komu, na Boga, mogłem pożyczyć Biblię, której brak w swojej bibliotece kiedyś odkryłem? Któż to tak był spragniony posiadania owego banalnego egzemplarza „Biblii Tysiąclecia", by wykraść go spomiędzy Księgi Zohar i Upaniszad? Siła nieczysta? Tak więc raczej nie pożyczam, a jeśli już to robię – „rzadko i niechętnie, / pod nieznośnym przymusem" – pozostawiam na półce kartkę z rewersem, kwitem mojej małostkowości.

Rozmawiał (via internet) Arkadiusz Pacholski